Zet
sztuka kultura
sprawy społeczne

ROK III NR. 6 (54)
DWUTYGODNIK POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA
WARSZAWA, DNIA 15 CZERWCA 1934 R.
CENA 50 GR.

Japonja — miecz Damoklesa

Mija już trzeci rok od momentu, w którym Europa uświadomiła sobie po raz pierwszy metafizyczną grozę przeżywanego przez nią przesilenia. Kiedy się to stało, określić dokładnie niepodobna. Spenglerowskie nastroje szerzyły się już dawniej na Zachodzie, nie docierały jednak do świadomości ogółu, sugerowanego wciąż jeszcze przez złudne potęgi i autorytety, utrzymujące jakoby świat w równowadze fizycznej i moralnej. Ale po głośnym krachu walut, jaki nastąpił w roku 1931, wiara mas poczęła słabnąć, iluzje rozpraszały się jedna po drugiej. Wówczas też zaczęto mówić powszechnie o strukturalności i wyjątkowości obecnego kryzysu, który nie jest zwyczajnym tylko kryzysem gospodarczym, lecz wielkiem przesilaniem się epok dziejowych, fermentem w pierwszym rzędzie duchowym, moralnym, umysłowym, a potem dopiero politycznym i ekonomicznym. Marksowskie pozytywki skrzeczały radośnie o upadku „starego świata kapitału"! aliści nie przeszło kilkanaście miesięcy, gdy przebudzona Europa poczęła wyrzucać na śmietnik samychże marksistów razem z ich ogranemi motywami „budownictwa socjalistycznego". Zabrakło tedy i tej wiary, wskutek czego przyszłość stała się tembardziej mglista i nieokreślona.

Ale i historja ma swój „horror vacui". Ktoś musiał — narazie przynajmniej — wypełnić lukę, jaką wytworzył w duszy Europy straszliwy ten kryzys zaufania, zanik wiary w dotychczasowe prawdy, potęgi, autorytety. Po bankructwie Genewy, po kompromitacji konferencyj gospodarczych i rozbrojeniowych, przyszedł hitleryzm, a z nim nowy zastrzyk galwanizującej Europę toksyny. Wydało się narodom, że oto już promień przedziera się przez chmury, że era przesila się, że słońce wschodzi. Impet natarcia narodowego socjalizmu, popularność i zuchwałość jego haseł, nowość głoszonej w tak kolosalnej skali krucjaty przeciw marksistom i żydom, — wszystko to wzmogło ferment ideologiczny we wszystkich niemal krajach starego kontynentu. Zresztą oddawna już dusząca zmora nowej wojny światowej odebrała wyczerpanej ludzkości spokój nerwów. Europę ogarniać poczęła histerja, której największe nasilenie oglądamy dziś, w roku 1934-tym. Zbawienne prądy odrodzeńcze, pojawiające się w łonie narodów, przybierać poczęły postać prymitywnie dekoratywną, z chwilą gdy psychoza ratownicza ogarniająca świeży, niezgangrenowany jeszcze żywioł młodzieży, wylała się wszędzie w demonstracyjnem wdziewaniu kolorowych koszul.

Po powstaniu hitleryzmu i jego imitacyj ciśnienie psychologiczne bynajmniej nie zmalało, co świadczy, że wielkie przesilenie epok dalekie jest jeszcze od swego finału. Hitler sprawił to jedynie, że tempo przebiegu samego procesu, przesileniowego stało się jeszcze szybsze. Płytkość ideologji mających uratować świat ruchów nacjonalistycznych jest wprost zadziwiająca. Widać z tego, że umysłowość współczesna, jakkolwiek tak ciężko doświadczana i tak nagląco inspirowana do twórczego czynu, nie zrozumiała dotąd istoty krzyzysu duchowego Europy. Daje się ona ponosić emocjom, zmiennym nastrojom, nagłym triumfom i trwogom, jednem słowem zdąża po linji najmniejszego oporu, czyli *najdalszą drogą do celu.*

Jest to zjawisko niepokojące, zwłaszcza dla umysłów historjozoficznie wyszkolonych, zdających sobie sprawę, że ta najdalsza droga jest zawsze drogą potwornego przelewu krwi, mąk, klęsk i zamętu, których to doświadczeń mogłaby sobie ludzkość oszczędzić, gdyby chciała wierzyć więcej w ducha i myśl, niż w materję i szablę. Niestety ciasny materjalizm i płaski, doczesny cynizm wżarł się tak w dusze współczesne, że mimo rozpaczliwych nierzadko porywów nie mogą one wzlecieć w niebo z błotnistej kałuży wpojonego im światopoglądu. To też *słońce rozumu*, ku któremu ludzkość zdąża w konwulsjach tak koszmarnych, ukrywa się jeszcze wciąż za mgłą jej własnej ślepoty i za gradową chmurą jej własnych drapieżnych instynktów.

Doszło do tego wreszcie, że to bliskie a tak dalekie słońce prawdy, sprawiedliwości i prawa, będzie — zdaje się — musiało wzejść *krwawo*, i że Europa, nie umiejąc go dostrzec pośród siebie w jedynej, niezniszczalnej idei Logosu stwórczego: Chrystusa-Słowa, zbliżać się musi ku niemu poprzez Daleki Wschód, poprzez Słońce wschodzące na japońskim sztandarze.

Jedyny pozytywny wynik dotychczasowych etapów przesilenia dziejowego, jakie przechodzi Europa, zarysowuje się na mapie w sposób następujący: Oto hitlerowski faszyzm, powstrzymany w swem parciu na zachód i na południe, gotuje się do skoku na Rosję sowiecką, jakby chciał zademonstrować światu nieomylne prawo antynomji społecznej, pchającej ustawicznie dwa przeciwstawne obozy: prawych i lewych, nacjonalizm i internacjonalizm, ku krwawej rozgrywce. Nieuniknione to starcie dwu światów ideowych, wyrosłych na zachodniem i wschodniem pograniczu Polski jest dziś pierwszoplanowem zagadnieniem historycznem, w obliczu którego wszystko inne na terenie Europy staje się zjawiskiem drugorzędnem i epizodycznem. Przegrodę stanowią: Polska i państwa bałtyckie. Mądra polityka Polski wywikłała ją narazie z dylematu: Niemcy czy Rosja, choć te pierwsze nie przestają czynić wysiłków jej ideowego shitleryzowania, by uczynić sobie z niej wasala, sojusznika, lub przynajmniej nieoporny pomost, umożliwiający przejście do ataku na Rosję poprzez polskie ziemie. Ale kwestja bałtycka pozostaje otwarta, i obydwie wrogie potęgi szachują się nią wzajemnie. Gdy Polska słusznie dała odpowiedź odmowną na uczynioną jej przez Sowiety propozycję wspólnego zagwarantowania niepodległości państw bałtyckich (nie chcąc dać się wciągnąć w możliwą z tego powodu wojnę z Niemcami), przebiegły Litwinow przedłożył tę propozycję Hitlerowi, trafnie przewidując demaskaradę Niemiec. Istotnie Niemcy uchyliły się od gwarancji, co zarysowało przed światem koszmarną wizję przemarszu kohort hitlerowskich pod sztandarami ze swastyką, przez terytorjum Litwy, Łotwy i Estonji. Ostatnio nieudany przewrót narodowo - socjalistyczny na Łotwie wizję tę jeszcze przybliżył. Ale egoistyczny lęk o własną skórę każe zapewne cieszyć się wielu Anglikom i Francuzom, że smok niemiecki odwrócił paszczę od Zachodu i kieruje się na Wschód, w nieco odleglejsze rejony.

Temniemniej większość trzeźwo myślących Europejczyków zdaje sobie sprawę, że: 1) wybuch konfliktu między Niemcami a Rosją jest tylko kwestją czasu, 2) straszny ten pożar nie dałby się absolutnie zlokalizować. Dlatego to z takiem westchnieniem ulgi przyjęła opinja świata wieść o dwustronnym pakcie nieagresji zawartym przez Polskę; zrozumiano, że w tem złowrogiem napięciu nastąpił dzięki jej zbawiennej inicjatywie moment równowagi, odsuwający możliwość starcia na czas nieokreślony. I odtąd narody europejskie uwolniłyby się może z pod dławiącego ucisku historji, gdyby nie to, że tam na Dalekim Wschodzie, gdzie widnieje sztandar z krwawo wschodzącem słońcem... zawisł miecz Damoklesa.

Jest już powszechnie wiadomem, zwłaszcza po ostatniem oświadczeniu urzędowem, do jakich celów zmierza polityka Japonji w Azji. Wiadomo również, że zniszczenie Rosji sowieckiej jest jednym z etapów jej olbrzymiego, iście napoleońskiego planu; to też wojna między Japonją a Rosją uważana jest za nieuniknioną. Japonja usamodzielniła się jednakowoż w swej polityce w ostatnich czasach tak bardzo, że jest niepodobieństwem przewidzieć, kiedy spodoba jej się wykonać swoje piorunujące natarcie. Jest ona przytem dzisiaj tak wielką potęgą militarną, że żadne z mocarstw świata — a cóż dopiero Rosja sowiecka — nie może się z nią zmierzyć odosobnione. Wolno uważać za pewnik, że i Niemcy będą wolały, w tym stanie rzeczy, pozostawić całkowitą inicjatywę w jej ręku, one same bowiem nie byłyby w stanie prowadzić tej gry bez Japonji, jako bezporównania słabsze od niej, i wiedzą dobrze, że pierwsze pchnięcie przyjść musi z Dalekiego Wschodu.

W tych warunkach, wobec organicznego zczepienia się wszystkich ogniw polityki międzynarodowej w obecnej dobie, wobec shisteryzowania Europy największem przesileniem, jakie pamiętają dzieje, oczywistem jest, że los świata... zawisł na włosku mikada. To nieznośne poczucie, że cały kompleks owego europejskiego „być albo nie być" waży się, bez naszej woli i wiedzy, o kilka tysięcy mil stąd, nad Pacyfikiem, to straszliwe naprężenie oczekiwania. kiedy wreszcie z miljona gardeł niezwyciężonych synów rasy Yamato runie krzyk: banzaj! a wreszcie świadomość, że może to nastąpić dziś, za rok, lub za lat pięć. bez możliwości przyśpieszenia lub oddalenia tego terminu, — zawisła nad Europą naprawdę jak jakiś rozmyślnie przez historję przysposobiony miecz Damoklesa.

Więc człowiek europejski kuli się z nieprzyjemnym dreszczem trwogi, nasłuchując pilnie ech z Dalekiego Wschodu, pragnąc dowiedzieć się, w czyjem ręku spoczęły jego losy, kim są ci, którzy zawiesili ów miecz nad jego głową i co właściwie zwiastuje światu to symboliczne Wschodzące Słońce na sztandarze.

I słyszy oto słowa gen. Araki, b. ministra wojny, żelaznego chrześcijanina o skośnych oczach, genjalnego stratega, którego fachowcy pozwalają sobie równać z Bonapartem, przywódcy 20 - miljonowego stronnictwa patrjotyczno - wojskowego. Słowa, które w oschłem streszczeniu, podanem przez europejskie dzienniki brzmią jak następuje:

„Egoizm, utylitaryzm, żądza korzyści materjalnych, oraz cyniczny materjalizm — zwyciężyły w Europie współczesnej. Każdy Europejczyk zatruty jest egoizmem i żyje tylko dla siebie. Duch altruizmu i ofiarności opuścił na zawsze Europę. Marksizm spełnia właśnie tę rolę rozkładową i doprowadza Europę do ostatecznego upadku. Marksizm zwalcza wszystko co wielkie i święte...

„Znalazłszy się w tej *strasznej* sytuacji, musimy szukać dróg, prowadzących *do uratowania świata*. Oczy nasze patrzą ku Rosji. Naród rosyjski padł ofiarą... marksizmu, toteż przechodzi obecnie przez szczególne próby, bo i tam *materja zwyciężyła nad duchem*. Nieszczęścia narodu rosyjskiego muszą budzić współczucie wszystkich, którzy zachowali w sobie, w małym bodaj stopniu, *miłość bliźniego*. Musimy uratować naród rosyjski, gdyż jest to obowiązkiem całej ludzkości. Do wyzwolenia Rosji z jej udręk winien dążyć każdy naród. Ponieważ żaden naród świata nie spełnia tego szlachetnego obowiązku, jest to najlepszym dowodem, jak dalece Europa zatruta jest egoizmem.

„W Japonji natomiast *szerzy się odrodzenie ducha*, coraz wyżej wzbija się tam płomień idealizmu. Toteż czy tego pragnie ludzkość czy nie, — uratujemy naród rosyjski. Japończycy... nie mogą upodobniać się do Europejczyków *w swej walce o prawdę i sprawiedliwość...*

„Wprawdzie przyszłość ludzkości okryta jest jeszcze mgłą, widzę jednak poza nią wschodzący jasny dzień. Nadejdzie on i stworzy radosne życie.."

Takie to są słowa, takie usta i takie ręce, któremi Bóg wzniósł ponad Europą swój straszny MIECZ DAMOKLESA.

Masonerja a upadek Polski

Lwowska „Gazeta Poranna" z dn. 14-go maja podaje krótkie streszczenie rewelacyjnej prelekcji prof. dr. Kazimierza Morawskiego, wygłoszonej 11 maja w Collegium Maximum, a rzucającej nowe światło na przyczyny upadku Polski. Prelegent oparł swoje wywody na długoletnich badaniach archiwalnych w Dreznie, Berlinie i Krakowie, popierając je fotograficznemi kopjami historycznych dokumentów. Wynika z nich, że międzynarodówka masońska dążyła naprzód — za pomocą protestanckiej dynastji saskiej — do poddania katolickiej Polski wpływom protestanckich Prus, a później do jej całkowitego zniszczenia. August Mocny, wybitnie zarażony okultyzmem, związany był — obejmując tron polski — z bardzo wpływowym wówczas „Zakonem Palmowym", jakie suggestje podsuwała mu ta tajna organizacja, zorjentować się można z t. zw. „Jedwabnej Księgi", na której znajduje się wizerunek protestanckiego anioła wypędzającego gałązką *palmową* papieża i katolickich monarchów „z doczesnego raju". Potężne wpływy wyniosły Augusta Mocnego na tron polski wyłącznie drogą korupcji. Równie poważną rolę w zdradzieckiej grze Augusta Mocnego i jego następcy, odegrało masońskie „Bractwo Wstrzemięźliwości", do którego należał m. in. słynny Brühl: przygotowywało ono świadomie upadek Polski. Gdy wojska szwedzkie pustoszyły Polskę, znany mason hiszpański Alberoni pisał: „Świątynia Salomona winna być wzniesiona na ostrzu szwedzkiej stali". Za Sasów „na pieczęciach królewskich widniała róża, jako masoński symbol bezwzględnej tajemnicy".

Mason Stanisław August Poniatowski, ktry odegrał nędzną rolę faworyta carowej Katarzyny, plamiąc piastowana przez siebie godność polskiego króla, używał przydomka: „Frater Salsi Natus. Stanislaus Magnus Frater ROSEI ET AUREI CRUCIS". Bohaterski poryw odrodzeńczy, jakim była Konfederacja Barska, wyraz zdrowej samoobrony narodu, nie powiodła się — zdaniem profesora Morawskiego — dlatego, że *„brakło jej światłego, z problemem masonerji obeznanego kierownictwa:* zmiażdżył ją nie kto inny, jak tylko świetnie zorganizowany moloch masońskiej mafji". Główną sprężyną upadku Polski był — podług pamiętników Stanisława Augusta — niejaki Ferdynand Achacy von Aseburg und von Hindenburg, który był kierownikiem akcji politycznej wolnomularstwa międzynarodowego (na czele całego ówczesnego ruchu masońskiego stali podówczas: rabin londyński Chaim Feik rodem z Podhajec, oraz Jakób Frank) Von Aseburg obmyślił zuchwałą prowokację, która spowodowała upadek konfederacji Barskiej, oraz odwróciła od Polski sympatje całej Europy: suggerował on mianowicie konfederatom ów pomysł aktu detronizacyjnego, połączonego z porwaniem króla, poczem niefortunny ten zamach zwrócił ostrzem przeciw jego wykonawcom. Równocześnie okrzyczano Polaków w całej Europie, jako anarchistów, niezdolnych do samodzielnego bytu politycznego. Czem był dla Stanisława Augusta wymuszony udział w tych intrygach dowodzą słowa sprawozdania masońskiego przesłanego królowi pruskiemu, (o przebiegu konferencji z Mokronowskim, późniejszym mistrzem „Wielkiego Wschodu"): „Jego Królewska Mość w czasie tej audjencji nie płakał lecz wył z bólu".

Dokumentarne te dane zebrane przez prof. Morawskiego opinja publiczna Polski przyjmie zapewne z niemałem zainteresowaniem.

W okresie wakacyjnym (do dn. 1. X. b. r. włącznie) Zet ukazywać się będzie w zmniejszonym formacie. Szczupłość miejsca zmusza redakcję do czasowego skasowania osobnej „Kolumny słowiańskiej", a umieszczania materjału słowiańskiego wśród innych artykułów.

— — — — — —

Administracja przypomina, że czas odnowić prenumeratę za 2-gi kwartał III-go roku wydawniczego.

Niebezpieczny rewizjonizm

Odpowiedź K. Zawodzińskiemu

Odpowiedź K. Zawodzińskiego na mój artykuł „Jak czytać poetę?" była właściwie zamknięciem dyskusji, konkluzją „referenta" który odpowiada swym oponentom, — jak to stwierdził sam autor artykułu (zamieszczonego w N-rze 4-tym). Mimo to zabieram głos raz jeszcze, poza dyskusją. Niechaj to będzie appendix, uzupełnienie, zbiór uwag marginesowych, wszystko jedno jak się komu podoba to nazwać; uważam jednakowoż, że w kwestji tak podstawowej, jaką jest recepcja estetyczna dzieł sztuki, nie należy pozostawiać niedomówień, wszystko powinno być wyświetlone. Dokładność i sumienność taka jest obowiązkiem poważnej krytyki, zwłaszcza w okresie powszechnej degrengolady intelektualnej i pomieszania pojęć, jaki dziś przeżywamy. Wbrew potocznej opinji, że sztuka jest „luksusem", „marginesem życia", „nadbudową społeczną" i t. p., pozwalam sobie mniemać, że jest ona najpotężniejszem — obok religji i filozofji — narzędziem rozwoju postępowego ludzkości, wobec czego rozwiązanie zasadniczych problematów z istotą jej związanych, jest może ważniejszem jeszcze, niż rozwiązanie problemów społecznych, ekonomicznych, politycznych i in. Wielu weźmie to za paradoks. Należy jednak sobie uświadomić, że twórczość artystyczna wybucha wprost z najgłębszych pokładów ducha ludzkiego, z warstw psychiki dotychczas niezbadanych, może tych samych, w których kryje się sam elementarny „irracjonalny" żywioł życia; że zatem opanowanie świadomą myślą procesów, jakie się dokonują w jej łonie, dostarczyć nam może przesłanki największej, na której jak na dźwigni archimedesowej rozum nasz będzie mógł podnieść z łatwością cały napiętrzony ogrom współczesnego życia, problematyki historycznej, kultury. Jeżeli bowiem człowiek jest twórcą nauki, obyczaju, państwa, techniki i prawa, jeżeli tworzy on sam siebie w laboratorjum swej myśli, genjuszu i woli, to trzeba nam wiedzieć koniecznie czem jest sam ów potężny żywioł twórczości, który się rodzi w człowieku i płynie poprzez dzieje. A przecież najbezpośredniejszą eksubicją tego żywiołu jest sztuka.

Wstęp ten wyda się może K. Zawodzińskiemu „frazeologją na wzniosłe tematy", gdyż postawa jego wobec rzeczywistości jest — zdaje mi się — minimalistyczna, i, mówiąc językiem epistemologji, rozsądkowa. Jednakowoż, musi się on pogodzić z odmiennością psychiki swego oponenta i przyjąć choć w pewnej mierze platformę na której stoję. Wygłaszam ten postulat tem śmielej, że w ostatnim swym artykule K. Zawodziński zamanifestował wyraźną dobrą wolę w dążeniu do uzgodnienia naszych, zrazu tak przeciwstawnych poglądów.

Otóż wydaje mi się, że jakkolwiek przystał on na mój punkt widzenia w kwestji nieodzownego „stożsamienia się z osobowością twórcy" w momencie recepcji estetycznej jego dzieła, postawa moja wobec całego zagadnienia twórczości jest mu zupełnie obca. K. Zawodziński sądzi, że ma do czynienia z zagorzałym zwolennikiem wyższości t. zw. „treści", ideologji, zawartości pojęciowej, nad formą, czyli czysto estetycznemi walorami dzieła; sądzi też, że występując jako apologeta „wielkości wieszczów" staję w szeregu zbożnych obrońców tradycji, zasuggerowanych wzniosłością tego co uznane i w Panteonie świętości narodowych zmumifikowane; sądzi wreszcie, że opętany manją stworzenia jakiejś synkretycznej religji narodowej, dopasowuję nagwałt wszystkich filozofów i poetów polskich doby romantyczno-mesjanicznej do jej założeń, dopatrując się w ich dziełach idej i wartości nieistniejących, oraz fałszując dowolnie ich ideologję, aby się pomieściły w moich szematach i odpowiadały moim pragnieniom.

Wprawdzie K. Zawodziński z właściwą sobie delikatnością ukrył te wszystkie zarzuty i przypuszczenia pomiędzy wierszami, aby nie kłuły zbytnio oczu czytelnika i nie urażały mojej miłości własnej, jednakże nietrudno je stamtąd wyłuskać. Toteż lepiej wywlec odrazu na wierzch te jego objekcje, aby nie pozostawiać niebezpiecznych niedomówień w przedmiocie wielkiej wagi. Rewizjonizm K. Zawodzińskiego (z którym się on nietylko nie kryje, lecz przeciwnie chlubi się nim i zapowiada w przyszłości jeszcze większą w tym zakresie ruchliwość) polega właśnie na zbijaniu tych trzech postaw, które ja — w jego mniemaniu — reprezentuję, a mianowicie na wywalczaniu suwerenności dla czysto estetycznych walorów dzieła, dalej na degradacji sław i wielkości uznanych, przy równoczesnem wywyższaniu niedocenionych i zapomnianych, a wreszcie na wyraźnem odgraniczeniu sztuki od filozofji i religji, w tej intencji, aby przestano mieszać poetę z prorokiem, świętym czy myślicielem. Nic więc dziwnego, że mimo wielu przyjaznych słów pod moim adresem, K. Zawodziński schodzi z pola dyskusji bynajmniej w swych zapałach rewizjonistycznych nieostudzony.

W tym stanie rzeczy zadaniem mojem będzie wykazać: 1) że stanowisko moje nie pokrywa się wcale z tym, jakie on mi w skrytości ducha przypisuje, oraz, 2) że „racje dostateczne" jego potrójnego rewizjonizmu są wprawdzie „racjami" ale nie są „dostatecznemi".

I a) Co do stanowiska mego w kwestji właściwych walorów estetycznych dzieła, to określiłem je już w artykule: „Jeszcze o formie i treści" a sprecyzowałem w sposób nie budzący wątpliwości w cyklu drukowanym obecnie w Zecie p. t. „Krytyka rozumu twórczego". Stwierdzam tam, że „treść" zaczerpnięta z zewnątrz, t. j. zapamiętane przeżycia, zdarzenia, a nawet poglądy naukowe, religijne, dające się spojęciować i wyrazić w inny sposób niż w sztuce (w dziele naukowem, w przeżyciu religijnem i t. p.), nie są elementem estetycznym tworzonego dzieła; jest nim natomiast Treść Czysta, idea transcendentalna, czyli jednia osobowości twórcy, w której cały jego, rdzennie *własny*, stosunek do rzeczywistości, jest zintegrowany tak bez reszty, że jest ona nim samym, warunkuje wszystkie jego akty psychiczne i jako żywa pełnia osobowości domaga się wyrazu, kształtu, symbolicznego wyznaczenia. Takiem wyznaczeniem, ekshibującym z dna psychiki artysty jego nie dającą się wyrazić w inny sposób treść życiową, jest dzieło sztuki. Tylko w tym sensie treść, idea jest elementem estetycznym. Doskonała recepcja dzieł sztuki polega więc na odtwarzaniu poprzez Formę Czystą (konstrukcję elementów utworu) Treści Czystej osobowości artysty: tylko w ten sposób możemy bowiem ująć to, co zwiemy *pięknem* a co jest napięciem i aktem zarazem, powstającym — podczas procesu tworzenia — między osobowością twórcy a formą konstruowanego dzieła.

Jednia osobowości jest tem wyższa im pełniejszy, wszechstronniejszy i głębszy światopogląd (czyli usystematyzowany stosunek do rzeczywistości) mieści ona w sobie in potentia: osiągnięta perspektywa metafizyczna (nie wyuczona, jako przyjęta z zewnątrz ideologja, lecz własna i żywa) znajduje swoje adekwatne odbicie w stopniu potęgi twórczej poety, o tyle więc wolno mówić o „wielkości" twórców ze względu na reprezentowaną przez nich postawę ideową. Staff i Tuwim nie są istotnie myślicielami, ich jednia osobowości nie zintegrowała się w ideę, ale też dlatego właśnie Staff i Tuwim mimo wielkich zdolności pozostali tylko „utalentowanymi poetami", a Norwid, choć więcej od nich porał się z trudnościami formy i tworzywa, jest twórczym genjuszem par excellence, a nawet — na przekór K. Zawodzińskiemu — „wieszczem".

b) Co do apologji uznanych wielkości to nie jest ona bynajmniej moim celem. Nie chcę mieć nic wspólnego z frazeologją bez pokrycia, z tradycyjnym kultem „wieszczów" i genjuszów, których się czci z przyzwyczajenia i pod przemożną suggestją zbiorowej opinji, a których równocześnie mumifikuje się w muzeach i w szkolarskich rozprawach owem „fałszywem serio" (o którem pisze Norwid w „Rzeczy o wolności słowa"). Szukam natomiast wielkości prawdziwej, a znalazłszy, nie pozwolę jej pomniejszać żadnym rewizjonistycznym zapędom. Dziwię się, że K. Zawodziński nie dostrzegł, iż w „Zecie" (i w „Gazecie Literackiej") — zamiast „kontentować się ustalonym sądem" — poddano gruntownej rewizji in plus cały dotychczasowy pogląd na wielkich poetów doby romantycznej, odkrywając w nich wartości nowe, zupełnie niespodziewane *), dzięki zdobyciu perspektywy metafizycznej, która pozwoliła na doskonałą, pełną recepcję idej transcendentalnych, czyli jedni osobowości tych twórców.

c) Zarzut fałszowania ideologij w celu stworzenia synkretycznej religji narodowej, jest o tyle poważniejszy od poprzednich, że muszę się z nim rozprawić nieco obszerniej. Otóż przedewszystkiem: konieczność stożsamienia się z ideą transcendentalną twórcy dla doskonałego apercypowania jego dzieła, nie implikuje wprawdzie przyjęcia „na stałe" tej postawy ideowej, ale też wcale go *nie wyklucza*. Wolno K. Zawodzińskiemu traktować stożsamienie to jedynie jako środek do celu, którym jest dlań możliwie pełne doznanie przyjemności estetycznej (w sensie — zdaje się — percepcyjno - zmysłowym); ale wolno też czytelnikowi — a nawet krytykowi — przyswoić sobie tę postawę ideową artysty, uznać ją za własną, o ile odpowiada ona jego strukturze osobowej i o ile daje mu ona wystarczającą podstawę pod jego autonomiczny, zaspokajający się w sobie, pogląd na świat; sądzę, że oceniając nawet rzecz z punktu widzenia czystego interesu poznawczego (historyczno - literackiego), identyfikacja taka — u krytyka — stać się może punktem wyjścia do odkryć niezwykle płodnych, pozwalając mu wnikać kongenjalnie w głębie procesu twórczego poety, którego tajemnicza osobowość zamknięta jest dla innych, zzewnątrz do niej podchodzących badaczy, na cztery spusty **).

Ale od przyjęcia ideologji do jej „fałszowania" droga daleka. Toteż, aby posępny ten zarzut uzasadnić, musiałby K. Zawodziński przeprowadzić wprzód dowód transcendentalny *całkowitej błędności tezy podstawowej*, która służy mi za podstawę do rewizji dotychczasowego poglądu na postawę ideową poetów naszych doby romantycznej; kto bowiem stoi na równinie, musi wprzód wyjść na szczyt góry, jeżeli ma dowieść, że ta perspektywa, z jakiej przeciwnik jego ogarnia inne, rozleglejsze horyzonty, jest całkiem fantastyczna, lub też nie istnieje wogóle. Odkrycie, które skłoniło mnie do takiej a nie innej interpretacji postaw ideowych Norwida, Słowackiego, Wyspiańskiego i in., jest zupełnie pozytywne i da się zdefinjować w następującej formule: *Idea rozumu twórczego, czyli Logosu (Słowa) w człowieku, była wspólną podstawą transcendentalnej jedni osobowości wszystkich wielkich twórców romantycznych w Polsce.* Ponieważ zaś idea ta była jednocześnie kamieniem węgielnym dla wszystkich wielkich systemów filozoficznych w Polsce XIX-go wieku, jako kapitalna zdobycz wniesiona przez polską myśl spekulatywną do ogólnego skarbca myśli filozoficznej, — nasza poezja „romantyczna" jest wistocie poezją *mesjaniczną* i pozostaje w organicznym związku z całokształtem mesjanizmu polskiego *jako doktryny*, t. j. jako systemu idej, aspirującego do roli dziejotwórczej. W artykułach wstępnych „Gazety Literackiej" wykazywałem naocznie, że idea ta i doktryna nie jest czemś egzotycznem w stosunku do logiki rozwoju duchowego Europy zachodniej, lecz stanowi jej etap konieczny i konsekwentny (który należałoby stworzyć, gdyby go dotychczas nie było); wykazywałem też — w rzucie syntetycznym — że doktryna ta stanowi odpowiedź na całą nowoczesną problematykę filozoficzno - polityczno - społeczno - kulturalną, zaś zawarta w niej idea *rozumu twórczego* stanowi klucz sklepienny, cywilizacji chrześcijańskiej (co łatwo pojąć, gdy się uświadomi sobie współodpowiedniość między ewangeliczną ideą Słowa w Bogu a polską ideą Słowa w człowieku).

To zatem co K. Zawodziński nazywa „fałszowaniem ideologji" jest w gruncie rzeczy — całkiem poprostu — stwierdzeniem prawdziwej ideologji polskiego romantyzmu mesjanicznego. Pozwalam sobie mniemać, że taka — sumiennie ugruntowana — interpretacja genetyczna, nie ma nic wspólnego z dowolnem, histerycznem naginaniem ideologji wieszczów do osobistych poglądów krytyków (Krasiński jako bolszewik..., Norwid jako pozytywista). Pozycja K. Zawodzińskiego, robiącego mi ów zarzut da się porównać z pozycją kogoś, kto widząc błyskawice i słysząc grzmoty podejrzewałby o fałszowanie rzeczywistości tych, którzy te proste zjawiska naciągają do jakichś nieprawdopodobnych hipotez o energji elektrycznej, znajdującej się u podstawy światła i materji: „Ja tu nie widzę żadnej energji (idei twórczego rozumu), ja widzę tylko zwykłe błyskawice i słyszę zwykłe grzmoty (wiersze, dramaty i poematy „wieszczów").

II. Powiedziałem na wstępie, że trzy główne motywy rewizjonizmu K. Zawodzińskiego są w zasadzie słuszne, t. j. brane in abstracto są „racjami", jednakowoż w konkretnem zastosowaniu nie są racjami „wystarczającemi". Uzasadnię to poniżej:

a) Słusznem jest wywalczanie suwerenności dla czysto estetycznych walorów dzieła, niedostatecznem jednak jest zacieśnianie zakresu tych walorów wyłącznie do świata doznań zmysłowo - wzruszeniowych. Musimy się zgodzić z tem, że: albo t. zw. walor estetyczny ogranicza się do przyjemnych zestawień barw, dźwięków, słów i rytmów, wreszcie kontrastów wrażeniowych (konsonas - dysonans, urok-brzydota, zadowolenie - niezadowolenie i t. d.), albo też — jeżeli już rozszerzymy ten zakres na piękno opisu przyrody, egzaltacji miłosnej, czy innych stanów uczuciowych — walor ten mieści w sobie wszystkie owe „światy doznań" „w sferze moralności, intelektu, transcendencji czystej", do których K. Zawodziński nie chce stosować przymiotnika: „estetyczne". K. Zawodziński najwyraźniej nie zrozumiał, co miałem na myśli, mówiąc o tych światach doznań; szło mi nie o kontemplację ich poza dziełem sztuki (t. j. nie o przeżywanie patosu gwiezdnego nieba lub wzniosłego, heroicznego uczucia poświęcenia dla ojczyzny na polu bitwy), lecz o napięcia moralne, religijne i intelektualne właśnie *wewnątrz dzieła sztuki*, jako elementarne składniki jego jedności formalnej, wyrażającej adekwatnie jednię osobowości twórcy. Dzieła sztuki tworzone są całą pełnią osobowości artysty, a nie pewnemi częściami jego psychiki: toteż i recepcja estetyczna powinna się odbywać nietylko za pośrednictwem zmysłów, ale poprzez harmonijny zestrój wszystkich władz naszego Ja: zmysłów, uczucia, intelektu, wyobraźni, myśli reflektywnej i woli. Na tem właśnie zjednoczeniu wszystkich zróżniczkowanych władz i narzędzi naszej osobowości w momencie tworzenia i kontemplowania dzieł sztuki polega przedziwny fenomen metafizyczny piękna. O ile w nauce zaangażowany jest tylko nasz interes poznawczy, w pracy zarobkowej nasz interes ekonomiczny, w grze politycznej nasz instynkt prawności i władzy, o tyle w sztuce nasycać się powinna wszystkość tych napięć w integracji, doskonałej. Gdy Szekspir pisał Hamleta, napewno nie rozdzielał: „tu jest treść wielkiego monologu Hamleta, która — jako ideologja — nie należy do sztuki; proszę nie usiłować nawet rozumieć myśli Hamleta, bo to nie jest doznanie estetyczne; proszę apercypować tylko budowę zdań, prozodję, dźwięczność wyrazów i następstwo porównań i przenośni. Dla Szekspira element znaczeniowy monologu stanowił napewno równie istotny impuls twórczy, co i konstrukcja formalna. Rozum, intelekt, wola powinny bowiem być zatrudnione w tym akcie — i w jego kontemplacji — w takim samym stopniu co i zmysły, z tem jedynie zastrzeżeniem, że ich autonomiczne cele nie mogą się tu ujawniać, lecz muszą być podporządkowane celowi naczelnemu: przeżyciu transcendentalnej jedni osobowości: *piękna samego w sobie.*

b) Słusznem jest degradowanie sław uznanych na korzyść wywyższenia twórców niedocenianych, o ile sławy owe na degradację, a niedocenieni na awans — *zasługują.* Natomiast rewizjonizm dla samego rewizjonizmu (sztuka dla sztuki) jest bezsensowny i szkodliwy. Doktrynerstwem jest założyć z góry, że się będzie obalać, odbronzowywać; gdyby motyw ten zakradł się do intencyj rewizjonistycznych K. Zawodzińskiego, byłoby to dowodem, jak nieuchwytnie demoralizujący wpływ wywiera na krytyków polskich „akcja odbronzownicza" Boya i suggestja płynącej stąd herostratowej sławy.

K. Zawodziński zastrzega się przeciwko zestawianiu jego rewizjonizmu z odbronzownictwem Boya, nie chcę więc imputować mu takich intencyj (tembardziej, ze napomyka on również o rewizjach in plus). Jednakowoż wyraźna — choć może nieuświadomiona — sympatja, jaka przebija z jego słów o „procederze" Boya, zwłaszcza zaś otwarte solidaryzowanie się z boyowską kampanją przeciw „świętości" wieszczów, wskazuje na niebezpieczne pokrewieństwo duchowe. Otóż sprawę tę należy wyświetlić: nie idzie o sztuczne podtrzymywanie aureoli świętości, narzuconej przez opinję narodową ludziom, którzy tej wzniosłości moralnej, jaką implikuje „świętość", może w sobie nie mieli (choć — jak n. p. Mickiewicz — posiąść ją pragnęli żarliwie). Idzie o intencję, z jakiej wypływa u pewnych ludzi targnięcie się na tę aureolę, o płytkie polowanie na sławę „odbronzowiacza", o płaskie babranie się w szczegółach, które — w zasadzie proste, arcy-ludzkie, nic nie znaczące — stają się, w tej lubieżnie świętokradczej przyprawie, czemś anty-etycznem i anty-estetycznem. Idzie o ten zawistny jakiś kompromitacjonizm, o rozmyślne poniżanie człowieczeństwa, o schlebianie zwierzęcym aspiracjom tłumu, o lubowanie się w degradacji wielkości, wzniosłości i świętości wogóle. To niestety kryje się na dnie rewizjonizmu Boya i trzeba przestrzegać wszystkich krytyków, szukających laurów na polu „odbronzownictwa" przed upadkiem w tę kałużę.

Ja osobiście widzę duże niebezpieczeństwo w tendencji K. Zawodzińskiego do rozpłatania żywego, pełnego człowieka, na jakieś osobne jaźnie, nie mające z sobą nic wspólnego. Twierdzi on, że można być wielkim artystą, a „pospolitym szują". Jest to gruby błąd, świadczący o płytkiem ujęciu problemu twórczości wogóle, a o zupełnej ślepocie w sferze wielkiego zagadnienia antynomji Zła i Dobra. Nie wdając się w zbijanie pomysłu K. Zawodzińskiego z metafizycznej perspektywy, poproszę go tylko, by wskazał mi — na całej przestrzeni historji sztuki — choć jednego szuję, który był wielkim artystą. Wady, słabostki, upadki są rzeczą arcy-ludzką. Nie wolni byli od nich i genjusze. Ale szuja, łotr, ciemne indywiduum, czyli Zło upostaciowane nie było jeszcze nigdy — i nie będzie — „wielkim artystą" (podobnie nie było w historji filozofji ani jednego wielkiego myśliciela, któryby zasługiwał na miano złego człowieka, szuji, drania). Potęga twórcza w sztuce, i potęga myśli w filozofji zależna jest taksamo od stopnia wzniosłości duchowej i dyscypliny etycznej, co i potęga woli moralnej, implikująca świętość. K. Zawodziński wspomni może Villona, lub nieszczęsnego Verlaine'a? Ależ ani jeden ani drugi nie był „wielkim", a choćby nawet ktoś przyznał im tę rangę, to żaden z nich nie był „szują". Wbrew sympatjom djabolicznym Boya, Villon był uosobieniem wściekłego temperamentu renesansowego, wreszcie nawet awanturnikiem, ale nie miał w sobie nic z łotra, z jednostki amoralnej, zdeprawowanej. Co do Verlaine'a to ten był tylko przykładem kruchości natury ludzkiej, zwiotczenia duchowego, jakże częstego w atmosferze dekadenckiego snobizmu, czyniącego jednostki nieodporne swemi ofiarami; ale Verlaine miał w sobie patos religijny, poryw ku świętości, rozpaczliwą wolę przezwyciężenia zwierzęcia w człowieku, co stawia go na drugim brzegu w stosunku do ludzi tej kategorji, którym nadajemy to soczyste miano: „szuja", A Przybyszewski? Nie, on też nie był szują, lecz jednostką potencjalnie demoniczną, która oscylowała niebezpiecznie pomiędzy Złem a Dobrem. Zresztą Przybyszewski, jak to dziś widzimy, nie był wcale „wielkim" a im bardziej degrengolował etycznie, tem gruntowniej zaprzepaszczał swój talent. Nie, proszę pana! Istnieje ścisła współzależność między czystością moralną a wielkością w jakiejkolwiek dziedzinie. Zrozumiał to dobrze Brzozowski, toteż odsyłam do jego uwag w tym względzie w „Ideach" i „Legendzie Młodej Polski".

c) Rozgraniczenie sztuki, filozofji i religji słusznem jest dyskursywnie, nie jest jednak racją wystarczającą odmawiania w czambuł poetom walorów spekulatywnych, czy religijnych. Nie rozumiem dlaczego poeta nie może być również myślicielem, a nawet świętym. Dla mnie istnieje — jako problemat i rzeczywistość społeczna — tylko żywa pełnia osobowości: *człowiek*. Im bardziej gatunek „homo sapiens" zmierza ku swojej integracji i syntezie, tem trudniej oddzielić w nim różne podrzędne typy i postawy duchowe Określenia: myśliciel, lub „prorok" do jednych poetów nie dadzą się zastosować, u innych znowuż posiadają pełne pokrycie. Zresztą nie można przykładać jednakowego kryterjum do wszystkich epok i środowisk. Jest charakterystycznem, ze w miarę, jak idziemy z zachodu na wschód, z krajów łacińskich ku słowiańskim, tem bardziej typ poety oddala się od „literata", „trubadura", czy zawodowego dostawcy wzruszeń estetycznych, a zbliża się do typu wodza, proroka, myśliciela. (Warto przeczytać — a propos tego zjawiska — to co pisze Norwid o Byronie, w swych wykładach o Słowackim). Goethe był myślicielem, Byron politykiem, wodzem, mężem stanu, Mickiewicz przywódcą o postawie profetycznej, Krasinski i Norwid myślicielami. Wielu historyków filozofji zwraca uwagę na ciekawy fakt stożsamienia się w Rosji typu poety-powieściopisarza z typem myśliciela. Największy filozof rosyjski Sołowjew był równocześnie poetą. Potężny genjusz spekulatywny Schellinga szedł u niego w parze z polotem poetyckim. Nie jest to bynajmniej przypadkowe. Jeżeli poddamy krytyce rozwój świadomości europejskiej w ostatnich stuleciach, ujrzymy jej dźwiganie się od postawy emocjonalnej i intelektualistycznej, najpierw do reflektywności transcendentalnej (bez której niema prawdziwej filozofji, a która jest jednocześnie siedliskiem smaku estetycznego, organizacji i sztuki), a wreszcie do potencjalizmu intuitywnego, związanego intymnie z elementem woli i genjuszu. Dlatego metafizyka europejska doszła — w kolejnej hierarchji zagadnień — do szczytowego problematu *twórczości;* a przecież w tej dziedzinie poeta, artysta ma już siłą rzeczy bardzo wiele do powiedzenia. Zamiast ku rozgraniczeniu, historja zmierza tedy wyraźnie ku identyfikacji tych typów.

Termin: „wieszcz", zwulgaryzował się w Polsce i, dzięki frazeologiczno - patetycznym skojarzeniom z obchodów narodowych, razi nasze uszy. Jest to jednak przykład prawdziwej intuicji językowej, trudno bowiem o trafniejsze ujęcie istoty naszej wielkiej poezji romantyczno - mesjanicznej, która była *poezją profetyczną* in stricto sensu. (patrz: „Widzenie ks. Piotra", „Nieboska Komedja", „Przedświt", misterja Norwida, „Samuel Zborowski" Słowackiego, cały wreszcie teatr Wyspiańskiego, począwszy od proroctwa Danielowego w pierwszym fragmencie scenicznym a kończąc na czteropiętrowej architektonice potężnej wizji profetycznej przesilenia dziejowego, jakie dziś przeżywamy, w systemie dramatycznym: „Wesele", „Wyzwolenie", „Legjon" i „Akropolis").

Jerzy Braun.

---

*) Patrz przedewszystkiem: cykl artykułów wstępnych w „Gazecie Lit." z r. 1933 — 34.

**) Idealnym przykładem tego jest kongenjalny krytyk i interpretator teatru Wyspiańskiego, A. Ł. Cybulski.

Czesi o „boyszewiźmie"

Czasopismo czeskie „Poesie" przynosi, w zeszycie II 1934, artykulik p. t. „Walka z boyszewizmem literackim", podpisany *js.* Oto jego streszczenie:

— Nietylko wielkość narodu wypowiada się w pełni w niektórych jednostkach, ale i przeciętność. Takie rozsławione przeciętności znajdziemy wszędzie. Anglja ma swego Shawa, Francja Maurois'a, Rosja Erenburga, Czechosłowacja Czapka, a Polska Boya Żeleńskiego. Niedonoszony humanizm, skłonność do liberalizmu z wydatną dawką cynizmu, wstręt do bohaterstwa, zwłaszcza w jego formach religijnych, feljetonowość stylu — oto główne znamiona tej przeciętnej warstwy powojennego intelektualizmu europejskiego, cechującego przeżywany teraz „kryzys". A jak w Anglji Chesterton już przed dziesięciu laty zanalizował to zjawisko na Bernardzie Shaw, u nas młode pokolenie walczy z Czapkiem, we Francji młodzi zrywają wieńce z czoła Maurois, tak w Polsce dwie wybitne grupy młodych, krakowska i warszawska, wszczęły bój przeciw Boyowi. Najsprawniej, choć może ze zbytecznem rozdrażnieniem, toczy tę walkę poeta i redaktor warszawskiego „Zetu", Jerzy Braun. Nie można patrzeć bez podziwu, na tę niezłomną wiarę w moc ducha. Walka z klimatem powojennego anarchizmu etycznego odbywa się nietylko w polskiej, ale i w europejskiej literaturze wogóle. Boyszewizm — to zjawisko europejskie, a walka z nim jest walką z dyletantyzmem umysłowym, który podważał swemi przeciętnemi a cynicznie prymitywnemi perspektywami energję duchową narodów. Faktem jest, że ta reakcja przeciw boyszewizmowi organizuje się, nabiera siły, i że już jej zbyć nie można taniemi frazesami o faszystowskiej reakcji literackiej. Proszę przeczytać dwa roczniki Zetu, aby przestać wierzyć w takie plotki. Witamy te polskie głosy jako pierwszą słowiańską oznakę, potwierdzającą obecność sił, które się gotują do nowej walki o prawa ducha. Młodzi Polacy walczą z boyszewizmem, a nawiązują do bogatej i płodnej tradycji: Mickiewicz — Słowacki — Wyspiański. I u nas powinno stać się to samo. Młoda literatura czeska powinna również nawiązać do wielkich wzorów przeszłości i podjąć bój o nowy, zwycięski świat ducha.

Wronskiana

Wielka Encyklopedja Sowiecka, wydawana w Moskwie pod redakcją naczelną O. Szmidta przez akcyjne t-wo p. n. „Sowiecka Encyklopedja", w t. XIII, str. 475 - 6 (r. 1929) zawiera artykuł p. t: „Wrońskiego wyznacznik", gdzie autor (przypuszczalnie W. Kahan) zwięźle poda je określenie i główne własności wrońskianów i wskazuje na ich doniosłe znaczenie w matematyce. W bibljografji przytacza tylko jedno dziełko H. Wr. (dotyczące rozwiązywania równań) oraz podręcznik Kahana z zakresu teorji wyznaczników, co nasuwa przypuszczenie, że autor nic nie wie o 4-o tomowem wydaniu u J. Hermanna w Paryżu dzieł matematycznych H. Wr. (w r. 1926). Pozatem autor podaje błędną datę urodzenia H. Wr. (rok 1775).

Miesięcznik Pologne, wychodzący w Paryżu, w zeszycie majowym przynosi artykuł S. Włoszczewskiego o Polakach, którzy działali i zainstalowali się we Francji w czasie wielkiej rewolucji. Autor nie zaniedbuje sposobności, by wymienić „wielkie imię polskie H. Wrońskiego, wschodzące na horyzoncie wypadków porewolucyjnych i świecące dziś blaskiem sławy wszechświatowej".

Merkurjusz Polski w Nr. 19 z dn. 13 maja r. b., poruszając modne dziś rewelacje historyczne i w szczególności artykuł W. Charkiewicza, odsłaniającego moralną niegodziwość Towiańskiego, przypomina, że już „Wroński nie inaczej określał towiańczyków, jak słowem: banda".

W Obserwatorjum Astronomicznem Uniwersytetu Warszawskiego, dnia 24 maja r. b. Mgr. astr. P. Demiańczuk wygłosił odczyt p. t. „O pewnych hipotezach, tłomaczących ruch perihelium Merkurego", i podał własną próbę wytłómaczenia tego zjawiska, zbliżoną do teorji względności. W toku dyskusji, która rozwinęła się po odczycie, P. Chomicz wskazał na t. zw. „moderator powszechny" mechaniki nieba Hoene-Wrońskiego, jako wyjaśnienie zagadkowego ruchu punktu przysłonecznego drogi Merkurego.

Wernyhora Słowackiego

Z zapisków o Weselu.

Czem jest lirnik w utworze, z którego bezpośrednio przeszedł do Wesela? Czem jest Wernyhora w Śnie Srebrnym? Jest wrogiem Polaków i jednym z przywódców zbuntowanej Ukrainy. Zostawmy *romans* — romans ruskiego pochodzenia Księżniczki (Ostrogskiej) ze Sawą - Calińskim, wiernym Polsce Ukraińcem, — gra tam Wernyhora rolę czarodzieja - figlarza, z przed nosa polskim panom sprzątającego bogatą dziedziczkę. Jego rolę *polityczną* nie kto inny jak Sawa zdemaskuje przy końcu czwartego aktu:

SAWA:

Do końca muszę być czynny
I kopnąć się dziś z wieczora,
Bo nam zniknął Wernyhora,
Z ciałem umarłej dziewczyny.
A teraz jasno to widzę,
Że on rozhukane gminy
Utrzymywał z sobą w lidze,
Z duchami wiązał w sojusze;
Aż go święte jakieś dusze
Wczoraj tak we śnie zmęczyły,
Że dziad uciekł na mogiły.

REGIMENTARZ

Ruszaj w pogoń; bo te trądy
Trzeba zupełnie wyleczyć,
A choćby ziemię skaleczyć
W leczeniu, wrzód wyrżnąć trzeba.

Kłamana przyjaźń i sojusz z piekłem. Jest w tem wszystko, a jest coś wręcz przeciwnego, niż u Czajkowskich czy Siemieńskich. I cała „drama Wernyhory" w piątym akcie, cała scena przekleństwa, zrozumiałe się stają dopiero, gdy się o tym tekście — nie zapomina.

*

Z żadną może z figur swoich dramatów Słowacki tak się nie zmagał, jak z tą, która mu się długo wymykała ze swą okrutną daleką tajemnicą. Sto podejść do niej zarysowuje mu się w wyobraźni w ciągu pisania Beniowskiego, aż i poemat — one właśnie — rozsadzą; w dramacie, gdy ją ujmie nareszcie, pozostawi z niej to tylko, w czem — cokolwiekby było tą tajemnicą — on wie, że to zawarł.

Czy idzie za nieomylnością artystycznego instynktu, czy też ma pełną świadomość, że kolejne „historje Wernyhory" w Beniowskim — to etapy tej samej Walki z Szatanem, by go do wykształszenia całej prawdy przymusić? Niewiadomo. Wiadomo tylko, że pisze do matki, że „dramę Wernyhory" spokojnie by mógł deklamować przed Chrystusem.

Czy prof. Kleiner, układając te pierwsze pieśni „pośmiertnego" Beniowskiego, doprawdy nie spostrzegł, że przyczyną, dla której one ten właśnie kształt ułamkowy przybrały, jest motyw lirnika? Odtworzenie tych tekstów, wraz z wszystkiemi warjantami, jest u prof. Kleinera w jego ostatniem wydaniu — Tom XI „Dzieł wszystkich" — tak świetne, że niemal może zastąpić obcowanie z autografem. W układzie wszystko jest hipotezą (podczas gdy Małecki korzystał może, przez Pelińskiego z wskazówek Autora). Oparcie się o rzymską osemkę w rękopisie figurującą przed jednym z fragmentów, i skonstruowanie na tej kruchej podstawie rzekomej drugiej redakcji (pieśni VIIB i VIIIB), doprowadziło do zerwania z estetycznemi kryterjami pierwszego wydawcy a genetycznie nie wyjaśniło niczego.

Sprawa tymczasem jest bardzo prosta. Jest „krymska ambasada" i są różne „historje Wernyhory". To znaczy: jest grupa pieśni (VII do X) zupełnie wykończonych i z wyjątkiem siedmiu strof, zachowanych w całości, — gdzie o Wernyhorze jest mowa zaledwie dwukrotnie, ale gdzie jego charakter i rola oraz stosunek do niego ks. Marka, zostały określone wyraźnie; i są luźne, przeważnie ze sobą i z tamtą całością sprzeczne fragmenty, — coraz to inaczej a niemal zawsze *jako nową, czytelnikowi jeszcze nieznaną figurę* wprowadzające Wernyhorę. Z tych fragmentów jedne — pieśni XI do XIII-ej, VII B i VIII B. — powstawały najwidoczniej w ciągu pisania pieśni VII do X-ej a odpadały w miarę, jak rodziły się nowe co do Wernyhory pomysły, aż wreszcie — w związku z konfliktem z ks. Markiem — okazała się konieczność obszernej zaraz z początku prezentacji lirnika; drugie zas — „pieśń VI" i „odmienne opracowanie Historji Wernyhory" — są różnemi redakcjami tej właśnie prezentacji, z któremi równocześnie i na tych samych kartach, piszą się strofy o ks. Marku t. j. równocześnie z Beniowskiego się rodzą Sen Srebrny i Ksiądz Marek.

Motywem, dokoła którego po za „krymską ambasadą", obraca się wszystko i który wciąż ewoluując, nowe wciąż stwarza kompozycyjne problemy, — jest Wernyhora. Póki się nie okaże, że on — jak jego antagonista — zmieścić się tylko może w dramacie.

Trudnością dla Słowackiego w ujmowaniu postaci Wernyhory, i trudnością dla czytelników w jej rozumieniu, jest to:

Słowacki kocha Polskę, ale kocha i Ukrainę. Kocha ją nie dla Polski, ale dla niej samej. Jest zarówno rozmiłowany w dawnem pięknie ich obu i porówni odważa ich krzywdy wzajemne.

Stwarza to tę szczególną atmosferę gdzie nietylko „filozof" Suchodolski duma o „męczeństwach ukraińskiego ducha" a księżniczka mówi, że w przekleństwie Wernyhory pierwszy raz głos słyszała ducha Ukrainy, który dotąd tylko „nic kolorowe malował", ale gdzie on sam, Wernyhora — drwi, że Polacy tak wierzyć przestaną w Polskę, że ona — gdy ją im wskrzesi — „spojrzy na nich jak upiory..." i nie co inne także stwarza ten szczególny stosunek do motywu „liry żebrackiej", której muzyka tak brzmieć miała czarownie, że trzeba było Wyspiańskiego, by w niej tę samą nutę piekielną dosłyszeć, co ks. Marek.

*

Jest chyba pieśń XI[1]) najwcześniejszą z „prezentacji" lirnika. Najwięcej w niej jeszcze arjostycznego tchnienia, co ją zbliża do pięciu pieśni wydanych za życia. „Ambasada" już się pisze, ale jeszcze nie doszła do podarowania Beniowskiemu przez Chana pułku Tatarów. Wraca więc p. Maurycy na Ukrainę odarty i błędny. Borejszę zgubił po drodze, za to gdzieś w stepie spotkał Radziwiłła. Teraz spotyka Wernyhorę. Ten jest odrazu narzędzie losu i prorok fatalny. Dla Suchodolskiego, dobry „czarodziej". Dla Beniowskiego, który nic nie zrozumiał z dotyczącej siebie przepowiedni, — „warjata kawał". Na początku fragmentu, w rozmowie ze starym kozakiem: zawiązek poźniej rozwiniętego opisu odkopania liry, krótki i bez cech demonizmu, a także zawiązek innego pomysłu: kontrastu, później w Zaboju uosobionego i Wernyhorze, pomiędzy stosunkiem do Polaków dawnej Ukrainy a nowej, co to już „pieśni... i imienia Boga" w polskie progi nie wnosi. Są oczywista te strofy w każdym calu... Słowackim; pozornie, jako koncepcja, nie wiele odbiegają od tego, co mógł np. opowiadać Goszczyński.

Pieśni XII i XIII. W „ambasadzie" już Beniowski obdarowany został pułkiem i teraz z nim śpieszy na odsiecz Barowi. Pogodzić to sobie jakoś obiecuje Poeta z epizodem poprzednim, a tymczasem ciągnie dalej i daje Beniowskiemu za towarzysza Wernyhorę. Krótki zdefektowany fragment ze strategicznemi radami. Czy dawane są z przyjaźni dla Polski? Czy dlatego, że prorok ma dla Beniowskiego „duszę ojczyną", bo — jak mówił poprzednio — raz jego przyszłość tragiczną odgadłszy, poczuł się duchem jego sługą? Niewiadomo. (Podobnej natury zdają się być uczucia Wernyhory dla Gruszczyńskiego, o którym luźny fragment włączony został do tej pieśni). Pewnem jest, że w kilkunastu strofach, które się stały pieśnią XIII-tą — w rozpaczliwej sytuacji, w jakiej się znalazł obóz Beniowskiego — ani on ani jego Tatarzy, widząc dziada co „na wilczej skórze",

Leży na ziemi — włos ma pełny prochu,
Zwinięty, srebrny — jak gniazdo jaszczurze,
Które wylęgła krew i wilgoć lochu"...

nie wiele zdają się czerpać otuchy z obecności tego szczególnego kompana.

*

Odpaść musiały te ustępy dość rychło. Choćby z powodu rozrośnięcia się krymskich przygód i potrzeby wcześniejszego zaznajomienia czytelnika z Wernyhorą. Stąd nowa „prezentacja" i to w obu aż „pieśniach" drugiej redakcji (prof. Kleinera), które choćby dlatego, że obie lirnika wprowadzają jako nową figurę — nie mogą stanowić redakcji tej samej. (Bezcelowem wogóle byłoby było rozpoczynać „redakcję drugą" i rozbijać świetną całość „ambasady" dla epizodów, z których — jeden przynależał do pieśni VI-ej, a drugi równie dobrze mógł być wprowadzony po powrocie Beniowskiego z Krymu). Oba fragmenty niewątpliwie wchodziły w pewnej chwili w skład pieśni VI do X-ej a wcześniejszym z nich jest pieśń VIII B. treścią i tonem związana z dziejami Sawy w pięciu pierwszych pieśniach. Odpadła, gdy przyszedł pomysł wprowadzenia Wernyhory w donioślejszym momencie akcji i ukazania go, w pieśni VII B, na tle walk z hajdamakami: podobnie jak i ta pieśń odpadła z kolei, gdy lirnik jeszcze bardziej się wysunął na czoło wydarzeń a walki Regimentarza Potockiego z rzezuniami odłożone zostały do dalszych pieśni[2]).

*

Polonofilstwa Wernyhory uwolnienie Calińskiego w pierwszym fragmencie równie nie dowodzi, jak skojarzenie go w Śnie Srebrnym z księżniczką a wstrzymanie walki z kozactwem w drugim, pozostaje równie zagadkowe i — wobec oskarżeń ks Marka w pieśni IX-ej — równie podejrzane, jak jego obecność w pod Bar ciągnącym taborze. W obu „pieśniach" ani o włos więcej „towianizmu", niż w tych, od których rzekomo później powstały, a uderza przedewszystkiem wzmaganie się pierwiastka demonicznego. Niesamowity, po arjostowsku jeszcze traktowany wybawca Sawy, w epizodzie bitwy z Żeleźniakiem wyraźnie urasta w upiora.

W pieśniach VII do X-ej, trzy ustępy mówią, że już Poeta *des Pudels Kern* wyłuskał, że odgadł zagadkę, która może zrazu swem pięknem i jego łudziła:

1) Wernyhora jest wcieleniem złego Ducha;
2) jest fałszywym przyjacielem i fałszywym doradcą;
3) jego lira, „zakrwawionego w sobie pełna Boga", jest narzędziem szatańskiem.

Pozostawało teraz wiedząc kim jest ten duch i jaką gra rolę, — ukazać go na początku tych pieśni, rozwijając momenty już w tamtych pierwszych rzutach dotknięte i inne, o których mówiła tradycja. Należało więc opracować:

a) przybycie dumkarza; b) wykopanie z grobu liry: c) znaczenie liry, jako symbolu łączności duchowej między Ukrainą a Polską; d) legendę o poczciwym Ukraińcu, co to tak się rozkochał w polskiej szlachcie, że nie tylko do niej „przystał" ale z miłości do niej własnego brata zabił czy matkę; e) legendę o słynnem proroctwie.

Istotnie — z wyjątkiem ostatniego momentu, który tylko motywu powrotu na białym koniu dostarczył ale niemniej wszystko sobą przepoił, — wszystkie one rozwinięte zostały w pieśni VI-ej; rozwinięte i jak się dziś mówi, zrewidowane. Wraz z warjantami, jest ta pieśń u Słowackiego przedostatnim etapem ewolucyjnym „pana - dziada z lirą", który tu — choć się jeszcze przyłapać nie daje *in flagranti*, a „słowa" swego nie wypowiada — już jest tym samym Wernyhorą, co się z Polakami (na półtora wieku) żegna w Śnie Srebrnym.

„Opowieść nie jest piękną ni wesołą", uprzedza Suchodolski. Opowiedziane przez Słowackiego, wygrzebanie liry „w trumien rdzeniach" wesołe nie jest, ale jakże piękne. Tylko, że apostrofa do liry—liry, co się ongi arką przymierza zdawała—nie polskiej pieśni gminnej dotyczy, ale ukraińskiej. Mówią to obie „Historje Wernyhory", ta pierwsza, i druga, której tekst błędnie ułożony przez Małeckiego, prof. Kleiner uporządkował i ustalił. Mówią także warjanty (str. 295 i 326). Skończywszy apostrofę, Słowacki pisze:

nie dziw, że złamać ty chciałeś narzędzie.
Stary żebraku.

Potem to przekreśla i pisze:

Słyszałem twój jęk — gdy umierający
Poeta ciebie na kolanie zginał...
Ty się skarżyłaś na twój naród śpiący,
Który już we śnie umierać zaczynał...

Potem i to przekreśla i powstaje strofa o starcu, co to przed śmiercią chce lirę złamać — „chciał ja tę lirę potępioną złamać", skarży się w innym warjancie — tak, jak w drugim opracowaniu daremnie błagać będzie Suchodolskiego, by lirę spalił i popioły mu wsypał do grobu. Starzec ten był już starym kozakiem w spotkaniu Beniowskiego z Wernyhorą a tu jest Zabojem, ostatnim spadkobiercą Bojana. Tu, w pierwszem (w. 18 - 13), a jeszcze wyraźniej w drugiem opracowaniu (w. 24—44 i 76—77), widzi i zapowiada, kto będzie jego następcą — i umiera w przerażeniu, że temu przejściu liry bojanowej w ręce piekielne, że zerwaniu z Polską ducha Ukrainy — zapobiedz nie mógł. Od początku więc „niewesoła opowieść" otrzymywała swój ton i tło właściwe, a protagonista oświetlony był niedwuznacznie.

Czy występowało to tak niewyraźnie w wydaniu Małeckiego, by aż usprawiedliwić wszystko, co się po dziś dzień wypisuje o tej postaci? By usprawiedliwić ślepotę wobec Wesela? Bałamuctwa Małeckiego w drugiej „Historji" pozwalały tylko „mojego druha" (w. 44) mieszać z „moim starcem" (w. 23) a wyznanie: „Bo ja nie kozak — ino duch piekielny", kłaść w usta — Zaboja. Były zapewne dziełem przypadku. Systematyczne przemilczanie tylu analogicznych ustępów, trudno wytłumaczyć bez jakichś „opatrznościowych" wpływów.

*

W pierwszej chwili, gdy się zajął motywem, Słowacki się pora z legendą. Jej kształtowanie się w sensie „pozytywnym" (jak mówią objaśniacze Wesela) ukazuje w spotkaniu Wernyhory z Beniowskim. w postaci Suchodolskiego, naiwnego iluzjonisty — protoplasty przyszłych ramociarzy. Uderzają go rysy demoniczne — humorystyczne dla tamtych — zachowane w tradycji. Przytem — zna — Ukrainę. Rola tego „przyjaciela"? Stawiał go w niej trzykrotnie w epizodach, które się urywały na znaku zapytania. Teraz ująć to trzeba w momencie, gdzie legenda mogła przesadzić, ale gdzie jak wszędzie, myśl jakaś się kryje — zdeformowana przez tych bezwiednych, co sobie to z ust do ust podawali, artystów. Przybycie z ostrzeżeniem z Zadnieprza? Akcja podczas rzezi na korzyść Polaków? Usiłowania, by od niej odwieść najbliższych? Epizod w kaplicy *in medias res* wprowadza konszachtów, które jasno widzi ks. Marek.

Lirnik „wiąże w sojusze z duchami" i sam jest duchów narzędziem. One go przyniosły, „strasznego Anioła", gdy przyszła chwila. A teraz je chleb tych polskich panów, których może i kocha Rzeź nadciąga; djabeł go nocą porywa i stawia tam, gdzie święcić się mają noże [4]). Protest. Rzucenie liry. Zabił — matkę. Zrozumiał, że stawać chciał przeciw własnej matce — Ukrainie. Myśl występuje jaśniej jeszcze w drugim opracowaniu, gdzie „matka" wyraźnie już jest tylko symbolem. Jest „matką-rzezią" [5]). Spotkał ją gdzieś koło futoru, bił i zabić nie mógł. Nie mógł w sobie zabić — Ukraińca.

Słowacki człowieka wydobył nawet w piekielniku.

*

Był ten duch i był tamten, w którym uosobiły się siły dobre. Do konfliktu Wernyhory z ks. Markiem parło wszystko. I gdy Słowacki ustala tekst pieśni „krymskich", konflikt ten zarysowuje mu się jako jeden z głównych motywów dalszych pieśni. Skoro lirnik wprowadzony został na początku, trzeba więc było po epizodzie o matkobójstwie: a) umotywować skargę, którą na niego wnosi ks. Marek, b) ukazać go w Korsuniu przy boku Potockiego w tajemniczej, podejrzanej roli, c) zapowiedzieć jego starcie z Karmelitą. „Historja Wernyhory" w pieśni VI-ej urywa się na epizodzie o „matce-rzezi" i tylko dwa drugie momenty—na początku pieśni VII-ej i w pieśni IX-ej — figurują w „ambasadzie", gdzie też stanowią w akcji *jedyne pozakrymskie dygresje:* w pierwszym lira ma już charakter szatański i trwogą napełnia szlachtę, gotującą się do rozprawy z rzezuniami; w drugiej ks. Marek, cudem we śnie przeniesiony w poleską puszczę, wnosi przed Matkę Bożą swe straszliwe oskarżenie na lirnika i lirę — w strofie dziś nawet przez prof. Kleinera uważanej za zawiązek Wesela (str. 383). Co więcej, nieco dalej inna strofa daje ekspozycję wydarzeń, które starcie lirnika z księdzem — zakończą porażką ich obu. Ksiądz się zbudził w swej celi i zapomniał o wizji i że o interwencję niebios się modlił przeciw mocom piekielnym; wróciła powszedniość a „sen w duchów uleciał krainy". Lecz skutek... skutek jak się to pokaże,

Był na tym nawet świecie dotykalny...
Wkrótce... będziemy z moją pieśnią w Barze,
Wtenczas ujrzycie sami, że fatalny
Był pacierz księdza. Runęły ołtarze,
Kościół... i z niemi ten ksiądz runął mszalny,
Lecz ksiądz przez swoje to dokonał cudy,
Że regimentarz z czartem runął: wprzódy...

Regimentarz z czartem, Potocki z Wernyhorą. A po nich on sam, Marek.

Praca nad poematem została przerwana i pomysł „utrwalić się nie zdołał", ale utrzymywać (str. 10), że Słowacki po napisaniu tych strof mógł powrócić do koncepcji Czajkowskich i Siemieńskich i Wernyhorę za opiekuna i doradcę dawać swoim Barszczanom — to utrzymywać, że dla Słowackiego nic nie znaczyło jego własne słowo. W rękopisie obu „Historji" obok strof o Wernyhorze widnieją strofy o ks. Marku (str. 30 i 35 - 36), gdzie jak w tamtych wieszcz ukraiński w Szatana, Karmelita w „Anioła Bożego" urasta. Stwierdzają te karty, *na których urwała się ta część poematu,* że pomysł konfliktu zarzucony został dopiero, gdy „święty" i „duch piekielny" — właśnie z tych kart — rozeszli się, by się stać osią akcji dwu odrębnych dramatów — i zniknąć z dalszych pieśni.

Rewizję legendy o „poczciwym" Wernyhorze Słowacki przeprowadził w r. 1841. Wesele nawiązuje do tej rewizji w sześćdziesiąt lat później.

Adam Ł. Cywulski.

---

[1]) Numeracja, jak u obu następnych, zaopatrzona przez prof. Kleinera pytajnikiem.

[2]) Porówn. „plan" trzeci. Już w pierwszym planie, gdzie „ambasada", miała się jeszcze cała zmieścić w pieśni VII-ej, „Wernyhory historja" figuruje w pieśni VI-ej. Zamiar poniechany dla pomysłów, które dały „pieśni" XI-ą i VII B, podjęty zostaje na nowo przy ustalaniu układu pieśni VI do X-ej, streszczonego w planie drugim.

[4]) W innym warjancie wjeżdża do (prawosławnej) kaplicy konno, śpiewając „jakąś pieśń bez wiary, pieśń o Chrystusie, o Bohorodycy", w innym jeszcze: „pieśń katolickiej wiary" (str. 187 i 322).

[5]) Przynosi to odkrycie prof. Kleiner w swem ostatniem wydaniu (str. 16 i 61).

JÓZEF CZECHOWICZ

Sen

Z tryptyku wiersz pierwszy.

Ziemio wonna, winna i łunna,
bita mrokiem nocy szklannej,
śpiewem dzwonów dzwonna burgundja
durzy czarem snów porannych.

Był ciemny. Po niwach tupał ulewą,
potem bębnił, bębnił w napiętą przedmieść pustkę.
A wymykał się zwinnie lampom, cieniom,
wieloręcznym drzewom,
sypiąc bezdźwięczny pieniądz,
szklisty boraks, lęku złego łuskę.

Jeżeli nie podbiegnie do wodotrysku... Nie!
Samo mu się nachyla lustrzane dno kwiaciarni.
A on — obuchem w szybę!
Gwizdnęły gwiazdy w szkle.
Uch, pękło! I to jak! W poprzek, wgłąb i wzdłuż.

No, teraz jeszcze czarniej,
tyle tylko, że w zapachu róż.

Tancerkę (skąd znów tancerka?) wiatrem — wysoko — nad bruk.
Tancerka — właściwie tancerz. Ministrant. W złotogłowiu chłopię.
Ten ciemny, ten dudniący potoczył się mu do stóp
snopem.
Po obydwu szedł blask, bo to był kwadrans rosy.
W rosie, w blasku ptaki krakały, jak podpalony las:
nie wstaniesz! nie będziesz mógł!

Złotogłów coraz wyżej. Słabo jaśnieje wgórze.
I dobrze tak. Fala — półkolami — zalewała miasto emalją;
piana u klamek i szyb i biały szum na marmurze
(będzie gdzie rość koralom,
gdy firmament od wód oddzieli struna,
smuga cienia, wiotsza niż tego snu konstrukcje).

Na wysokości świetlny punkt. Świetlik - ministrant frunął.
Na toni chyba już nic. Aha, płatek nasturcji.

Ziemia dzwonna głosami dzwonnic
(dźwięki w stuleciach niezmienne),
Sny nadranne, bory sosenne
pod brzaskiem przedświtu goni.

A ja? Gdzie jestem ja? Pod siecią promienistą,
która pulsuje łagodnie wówczas, gdy światło przygasa,
leżę na złotej ikonie.
Na łono przyjął mnie chłodne porfirogeneta Chrystus
wielkiem znużeniem rubinów opasał.
Rubiny nieszlifowane ciekną po dłoniach, po skroni.

W przepaściach cisz odrywa się pierwszy kształt:
jest to obraz człowieka i snu i słowa wyśpiewanego
Dlaczego leżą tu i razem odpływam wzwyż?
Dlaczego on będzie tam, a ja na blachach ikony,
w głębinie cisz,
na piersi — czy naprawdę — na piersi Ciemnolicego?

Odpływa nowy mój kształt. Znów jeden. Znowu. Znów.
Tak właśnie banie powietrza płyną z dna stawu pod nów.
Byłżebym, leżąc tak, pełen duchów jak śpichrz?
W niezrozumiałej z niemi żyjąc paraleli
patrzę, słucham: bledsze się stają blaski, powietrze, głusza.
Rubinowy urasta liść
nie w gąszczu, na bandaża bieli.

Głowa. Głowa.

Po nocy słońce na oczach muskało brew,
brew ziemi sennej w kołysance drzew,
ziemi sennej w drzewach gonnych, stupokłonnych.
Od szkarłatu obłoków tak łunna,
szklanym brzękiem cudów podchmurna
w winnobraniach budzi się wonnych.

Ziemia. Ziemia.

Świat słowiański

Rozhledy po literaturze a umeni (Nr. 6 i 7) zamieszczają obszerne notatki o polskim ruchu literackim i umysłowym, pióra Jarosława Janoucha, znanego tłumacza poezyj polskich na język czeski (wkrótce ma się ukazać — dzięki staraniom tego zasłużonego polonofila — przekład „Promethidiona" norwidowskiego w wydawnictwie książkowem). W N-rze 7-ym tego literacko-naukowego dwutygodnika ukazał się artykuł Jerzego Brauna p. t. „Zmartwychwstanie Cyprjana Norwida", omawiający renesans tego wielkiego twórcy wśród młodego pokolenia poetyckiego (przekład Jar. Janoucha).

Surrealiści czescy zorganizowali się w grupę literacką pod przewodnictwem Vitesłava Nezvala. Wydali manifest, zatytułowany „Surrealizm w CSR", podpisany przez Konst. Biebla, Boh. Breuka, Imre Forbatha, Vinc. Makowsy'ego, J. Honzla i innych. Mają rozpocząć wydawnictwo miesięcznika p. t. „Surrealismus w Czechach", oraz książek (nakł „Objevy"). Jedną z pierwszych wydanych rzeczy ma być „Marie Melük-Blainville" Arnima von Arnim z przedmową Nezvala.

Orest Danilowicz Chwolson, znany fizyk, zmarł w Lenigradzie w wieku lat 82. Jego specjalnością w dziedzinie fizyki były: zagadnienie magnetyzmu, przewodzenia ciepła i rozprzestrzeniania się światła. Podstawową pracą jego życia był wielotomowy podręcznik fizyki, rodzaj encyklopedji nowoczesnej wiedzy w tej dziedzinie. Dzieło to było przekładane wielokroć i na różne języki i uchodzi do dziś — nietylko w Rosji — za pracę klasyczną w swej dziedzinie.

Całą spuściznę rękopiśmienną po Jerzym Wolkerze wraz z jego korespondencją przekazała matka przedwcześnie zmarłego poety archiwum literackiemu Narodowego Muzeum w Pradze.

W 50-lecie śmierci Stefanika rozdano w Słowacji 4 nagrody literackie i jedną malarską. Nagrody literackie otrzymali m. in. Andrzej Żarnov za tom p. t. ‚Głos krwi" i Emil Stodola za powieść p. t. „Przełom".

Wielką powieść o Sztefaniku wydał (u Borovego w Pradze) L. N. Zverzina. Wielki, czterotomowy ten epos ma tytuł „M. R. Sztefanik, dzieje czeskosłowackiego bohatera" i obrazuje dzieciństwo Sztefanika spędzone w Słowacji, jego lata studenckie w Pradze, jego wielkie podróże, pracę nad oswobodzeniem narodu, wreszcie tragiczny koniec.

Igor Siewierjanin wydał w Belgradzie (gdzie mieszka od czasu rewolucji rosyjskiej) tom sonetów zatytułowany „Medaljony". Tom zawiera sto sonetów poświęconych różnym pisarzom i muzykom rosyjskim. Zobrazowanie w ten sposób literatury rosyjskiej (w jej głównych przedstawicielach) na przestrzeni od Puszkina do Ireny Odojewcew — było pomysłem conajmniej szalonym. Wynik: naprawdę wysoki poziom literacki osiągnęło zaledwie parę wierszy, m. in. sonety o Kuprinie, Pantalejmonie Romanowie i Buninie.

Mikołaj Tychonow, młody pisarz rosyjski wydał ciekawą powieść p. t. „Klątwa we mgle" (Leningrad).

Bibljografję wydawnictw bułgarskich za rok 1931 ogłosiła Bibljoteka Narodowa w Sofji p. t. „Blgarski knigopis za 1931 god". (około 500 stron).

Nieśmiertelny „Rewizor" Gogola jest tematem dwu nowych prac wydanych w Sowietach. L. V. Kresłowa dała opracowanie z punktu widzenia historji literatury (wyd. w Moskwie). S. Daniłow obrazuje dzieje tej komedji na scenach rosyjskich. Książkę ilustruje 24 reprodukcyj różnych inscenizacyj „Rewizora". Komedja ta dnia 19 kwietnia 1936 roku obchodzić będzie 100-lecie swego scenicznego życia.

W szeregu studjów wydanych przez Instytut Wschodniej Europy we Wrocławiu, ukazała się książka Henryka Kurtz'a p. t. „Die Slavische Kultur in Schlesien auf Grund der Bodenfunde".

Z okazji 125-lecia urodzin Gogola rosyjska Akademja uchwaliła wydać jego dzieła zebrane (12 — 14 tomów). Obecnie ukazał się tom zbiorowy, zawierający nowe materjały o Gogolu i niektóre nieznane fragmenty z jego pism.

Nowe tomy poezyj

Świeżawski (Ludwik). Wozy jadące. Bibljoteka Gazety Literackiej. Tom IV. Kraków 1933. Str. 37 i 3nl.

Odgłosy mitologiczne, niewyuczone lecz naturalne poczucie spójni z prawiekiem, tęsknota do legendarnej prasłowiańszczyzny. Zapowiedź tych skłonności tkwiła już w pierwszym tomie poety („Śmiech w zieleni"). W „Wozach jadących" rysunek nabiera większej wyrazistości, jak owoc zbliżający się do okresu dojrzewania. Charakterystyczna dla natur pierwotnych metafora zoologiczna, przyczem symbolem terjomorfizmu jest u Świeżawskiego koń. Warto ten szczegół zaznaczyć ze względu na niezwykle rozpowszechniony w poezji czasów ostatnich motyw krowy, niemal tworzący się mit. Są w wierszach Świeżawskiego pierwiastki, które możnaby nazwać romantyzmem, jest to bowiem poezja słoneczna, letnia, czerwcowo - lipcowa. Trudno oprzeć się wrażeniu, że tomik napełniony jest słonecznemi właściwościami słowiańskości. Nie dlatego, że poeta mówi: „słowiańskie słowa jak aniołowie przyjdą zwiastować słowo po słowie". Zdanie to dobrze charakteryzuje ogólny nastrój poety, bynajmniej nie programowy. Zaznaczona słowiańskość jest zjawiskiem raczej wyczuwalnem niż dającem się ściślej określić. Niemniej wrażenie jej pozostaje i utrwala się przy następnem czytaniu.

Świeżawski przedstawia typ poety posiadającego silnie zarysowaną koncepcję treściową. Słowa nie układają mu się mglisto, nijako, w sposób nieokreślony. przeciwnie, są dorodne, świeże, soczyste, trochę twarde, trochę jakby jeszcze niedojrzałe. Nie przybierają jednak dotychczas postaci zdecydowanie wyraźnej, jeżeli chodzi o styl. Ale poeta bliski jest własnej drogi. Należy wierzyć, że jego widoczna słowiańskość wkrótce uwidoczni się w formie, najbardziej odpowiadającej samorodnej treści skupionej w poecie. Taki niepospolity wiersz, jak „Sąsiad sadu", mógłby stać się drogowskazem dla autora.

Adam Bielecki. Akwarjum ulic. Kraków 1934. Gebethner i Wolff. Str. 62 i 2 nl.

Najpospolitsze debjuty poetyckie ostatnich lat oznaczają się skłonnością do przejmowania wpływów, idących z dwóch kierunków: z poezji Skamandra i awangardy krakowskiej. Zjawiska tego uogólnić jednak nie można. Rozkłada się ono raczej terytorjalnie w ten sposób, że poeci północno - wschodni pozostają pod wyraźną sugestją Skamandra, ale w miarę posuwania się na południe wpływ ten stopniowo maleje. Młodzi poeci krakowscy, którzy kształtują dopiero swoje oblicze, zwracają się po wzory raczej do poetów Młodej Polski. Chyba tylko w poetyckim klimacie Krakowa mógł powstać taki debjut, jak „Akwarjum ulic". Rodzaj śmiałej i niewątpliwie wartościowej próby rzucenia mostu przymierza międzydawnemi a nowemi laty. Wygląda tak, jakby ktoś połączył niektóre kategorje myślenia z przed trzydziestu lat z poglądami właściwemi czasom dzisiejszym, i zaczął przemawiać połączonym językiem dwóch pokoleń poetyckich. Skłonność do tradycjonalizmu i sporo oznak nowatorstwa. Sonety zbliżają się bardzo do młodopolszczyzny, ale niektóre metafory podobne są do repertuaru awangardy, np. wymiona słoty, czkawka wspomnień, a zwłaszcza metafory o treści ceramicznej, m. in. salaterka lata żywo przypomina słynny „półmisek radości" Peipera. Książka odznacza się niepokojącą trochę kameralnością, prawie lodowatością, która nie oznacza jednak braku wrażliwości. Przytłumienie tonu jest tu spowodowane jakby przegrodą ze szkła, zza której słyszymy poetę, poznajemy jego rumieńce i sharmonizowane, spokojne gesty, ale nie czujemy ani oddechu, ani ciepła, mimo pozornej bliskości. Cykl pierwszy, do pewnego stopnia urbanistyczny, jest zapewne wyrazem właściwego przeznaczenia poety: strefa doznań miejskich, wnikanie w stosunek człowieka do otaczających go rzeczy, tajemnice mieszkań, mebli, sprzętów, szuflad, przedmiotów i przedmiocików, wśród których kryją się dramaty autentycznego mieszkańca miasta. Małe podobieństwo do zwykłych debjutów czasów ostatnich. Warto jednak zaznaczyć pewne pokrewieństwo omawianej książki z „Wirem perspektyw" Adama Znamirowskiego.

St. Czernik.

Polonica

Ludwik Świeżawski, autor dwu tomów poezyj „Śmiech w zieleni" i „Wozy jadące" wydał (Warszawa — Wyd. Młodej Prozy) tom nowel, zatytułowany „Miasto bez ojczyzny".

„Obrazu współczesnej literatury polskiej 1884 — 1933" ukazał się tom II (pióra Kazimierza Czachowskiego) nakładem Państwowego Wydawnictwa książek szkolnych we Lwowie. Tytuł tomu II-go: „Neoromantyzm i psychologizm". Tom zamyka obfita bibljografja.

Kopernikańskie dzieło „De revolutionibus orbium coelestium" ukazało się w przekładzie na język francuski. Przekładu dokonał, wstępem i komentarzami tę pracę opatrzył A. Koyré. (De révolutions des orbes célestes" — Alcan — Paryż).

Wśród nowych książek

Brat Franciszka Mauriaca, Rajmond, wydał, pod pseudonimem Raymond Housilanc powieść p. t. „Individu", którą uważa krytyka francuska za jeden z najciekawszych ewenementów literackich minionego roku.

Wspaniałą historję literatury greckiej wydaje „Societá editrice internazionale" w Turynie (Italia). Autorem tego dzieła, które rozmiarami swemi przekroczy wszystkie dotychczasowe wydawnictwa włoskie z tej dziedziny — jest Camillo Cessi. Część pierwsza tomu I-go, która ukazała się właśnie zawiera na 972 str. druku ogólną charakterystykę literatury greckiej, dzieje początków tej literatury i okres Homerowski.

Biografję Cervantesa wydał w Londynie (Allen and Unwin) Mariano Tomas. Autor oparł swą pracę głównie na materjale dostarczonym przez pisma twórcy Don Kiszota, malując w sposób barwny i interesujący awanturnicze życie wielkiego Hiszpana. Tytuł: „The Life and Misadventures of Miguel de Cervantes".

Studjum psychologiczne o Edgarze Allanie Poe, wydała Marja Bonaparte (księżniczka grecka Maria) uchodząca w swej ojczyźnie za powagę w dziedzinie nauk psychologicznych. Trzytomowe to studjum zawiera w tomie 1-szym obszerną biografję Poego i rozważania na temat jego twórczości lirycznej, zaś dwa dalsze tomy oświetlają filozoficzny światopogląd poety. W zakończeniu studjum analizuje autorka stosunek Poego do swych utworów, zajmuje się ustaleniem psychologicznych przyczyn wpływu twórczości Poego na Baudelaire'a (który przekładał utwory Poego na język francuski). Przedmowę do pracy tej napisał Freud.

Filozofję techniki opracował i wydał w Monachjum (R. Oldenburg) p. t. „Philosophie der Technik" — Manfred Schröder, Na treść jej składają się rozważania na temat historji techniki, jej metod, struktury i systematyki, psychologji, etyki, wreszcie omówienie tych kierunków filozoficznych, które rozbudowywały w ramach swych systemów metafizykę narzędzia.

Nową pracę o Duns'ie Skocie wydał znany badacz szkockich ruchów religijnych z XIV-go stulecia — Hermann Schwamm Praca nosi tytuł „Das göttliche Vorherwissen bei Duns Scotus und seinem ersten Anhängern" (F. Rauch, Innsbruck). Autor zagadnieniem tem zajmował się już obszernie w pracach o Joh. Ripa i Robercie Cowtonie — tak, że studjum obecne jest tylko jakby obszerniejszem przedstawieniem nauki wielkiego myśliciela, z uwzględnieniem rozwoju jej głównych założeń na przestrzeni XIV-go stulecia. Autor uwzględnia w swej obszernej (prawie 400 str. liczącej) pracy zarówno uczniów Skota, jak i jego przeciwników (jak Thomas Sutton, Petrus Aureoli, Wilhelm Ockham i inni).

W paryskiej Bibljotece Narodowej sporządzono katalog prac o Molierze, liczący 1938 pozycyj, rejestrujący zbiory znajdujące się w 5 bibljotekach (oprócz Narodowej: Mazarini, Sainte-Geneviève, Arsenal i uniwersytecka). Na 351 stronicah zebrano tu dane o zbiorowych wydaniach, wyborach dzieł, opracowaniach obcojęzycznych, wreszcie o apokryfach.

Br. Beyens, poseł belgijski, który pełnił swą służbę dyplomatyczną w Berlinie w chwili wybuchu wojny (i wydał tom wspomnień z tego okresu p. t. „Deux années a Berlin") wydał teraz, w formie dziennika swe zapiski, powstałe podczas czteroletniego pobytu w Rzymie w roli posła przy Watykanie. („Quatre ans à Rome. 1921—1926. Fin du pontificat de Benoit XV. Pie XI. Les debuts du fascisme" — Paryż, Plon). Do najciekawszych rozdziałów książki należą: wybuch faszyzmu we Włoszech, objęcie władzy przez Mussoliniego, napięcie dyplomatyczne między Watykanem a gabinetem Herriota, akcja papieża podczas słynnego głodu w Sowietach.

Ilustrowaną monografję sztuki gotyckiej we Francji wydał R. Rey (Laurens — Paryż) p. t. „L'art gotique du midi de la France".

Studjum o Dürerze, pióra prof. Hugona Kehrera ukazało się p. t. „Dürerselbstbildnisse und Dürerbildnisse" (Nakład. G.

Bez komentarzy

„Biuletyn Polsko - Ukraiński" zamieścił w n-rze z dn. 20 maja r. b. następującą notatkę, którą podajemy tu, nie zaopatrując ją w żaden komentarz. Mówi ona dość jasno sama za siebie. Oto tekst:

„Nr. 88 moskiewskich „Izwiestij" z dn. 14 kwietnia r. b. przynosi dziwną niespodziankę, mianowicie wielki artykuł znanego pisarza *Kornela Makuszyńskiego* p. t. „Noc i lodowce", napisany z powodu t. zw. „czeluskinowców". Nie wchodzimy w sprawy związane z treścią artykułu oraz z faktem zjawienia się jego w oficjalnym organie sowieckim: de gustibus non est disputandum...

Stwierdzamy tylko, że artykuł ten napisany z uczuciem, współczuciem i podziwem, kończy się takiem zdaniem:

„Zmiłuj się nad nimi, Boże (w „Izw." naturalnie, — „boże") miłosierny. (Izw. Nr. 88 str. 2).

Tego było dla redakcji „Izwiestij" już zawiele Toteż dodała do artykułu p. Makuszyńskiego następującą uwagę, wydrukowana tłustym drukiem:

„Z wielkiem zadowoleniem drukujemy artykuł znanego pisarza polskiego, który daje piękny wyraz uczuciom, zbudzonym przykładem bohaterstwa naszych czeluskinowców oraz naszych lotników w tej części polskiej opinji burżuazyjnej, w której jeszcze tkwią zdolności zachwycania się wielkiemi zdobyczami ludzkiego ducha i ludzkiej woli.

Błąd p. Makuszyńskiego polega jednak na tem, że nie rozumie on, iż nasi marynarze — *nietylko* marynarze, nasi lotnicy — *nietylko* lotnicy, nasz Schmidt — *nietylko* uczony („nie prosto uczonyj") ..Nasi marynarze, nasi lotnicy i nasz Schmidt — to są *bojownicy socjalistyczni, zdolni nietylko do chwilowego bohaterstwa, lecz i do bohaterskiego życia, ofiarowanego socjalizmowi*. Kraj, który ich zrodził i wychował nie polegał na *pomocy Pana Boga*, do którego o ratunek czeluskinowców modlił się p. Makuszyński..." (wszędzie podkreślenia „Izwiestij").

Jovan Duczić

Życie południowych Słowian zgoła odmiennie przeżywało zawsze swój artystyczny i duchowy rozwój, niż Słowianie kultury zachodniej. Tak Serbja, jak i inne ziemie południowe tkwiły wszystkiemi swemi korzeniami w atmosferze kultury bizantyńsko-bałkańskiej.

Zdarzało się — rzecz naturalna — niekiedy, że jednostki odrywały się od pnia kultury rodzimej, działo się to jednak tylko w pewnej fazie rozwojowej danego talentu nawiązującego zazwyczaj szczęśliwie z powrotem do źródeł przebogatej rodzimej poezji i pieśni ludowej.

Tak było przez cały wiek XIX, kiedy rodziła się właściwie poezja serbska. Asystowały przy jej narodzinach w pierwszym rzędzie kultura rosyjska, w małej mierze niemiecka, odbił się też wpływ francuski. Tych kilka słów należało nadmienić, by zrozumieć Jovana Duczića, jako poetę i jako jednego z tych, który oderwał się od pnia rodzimości, „opętany" kulturą zachodnio-europejską (do czego niemało przyczyniły się studja zagraniczne i służba dyplomatyczna).

Narodziny Duczić'owego talentu przypadają na lata 90-te ub. stulecia. Pochodzi on z generacji, która wyrosła w dobie symbolizmu, kultu dla Verlaina i innych. źródeł z których czerpała swe podniety twórcze i artystyczne bodźce cała ówczesna literacka Europa.

Jowan Duczić był jak mało kto predystynowany do przeszczepienia tego kierunku literackiego na grunt serbski. Urodzony (1874) w Mostarze, był dzieckiem Hercegowiny, która w połączeniu z dalmatyńskim Dubrownikiem, z górskiem „hajductwem", licznemi rodzinami muzułmańskiego wyznania, ale pochodzenia serbskiego, stała się właśnie tym osobliwym rajem „sevdalni", (miłości), miłości dla miłości, erotyki bliskiej sentymentalizmowi romantycznemu i spleenowi dekadentów.

„Południowa bowiem Serbja i Bośnia z Hercegowiną są krajami, w których się Wschód najbardziej przyjął i skąd się szerzy płaczliwa melodja miłości po całym Bałkanie". Duczić znał ową melodję swego kraju i stal się jej piewcą w serbskiej literaturze w okresie modernizmu, „budując na mocnych podstawach bałkańskiej uczuciowości wietrzny pałac wzniosłych uczuć".

W pierwszym tomie poezyj z r. 1901 znajdujemy wyraz tej bałkańskiej uczuciowosci splecionej z płaczliwą melodją miłości. „Wiersze posiadają charakter ballad, w których błyska handżar, tkwią dziwne minarety, słychać westchnienie tureckiej hanumy za chrześcijańskim giaurem, szepcą cyprysy i płaczą drzewa na wichrze". Wszystko przepojone jest tęsknotą i miłością.

Rychło po wydaniu pierwszego tomu Duczić wyjeżdża na zachód i od tego czasu przebywa stale, jako dyplomata, w Genewie, Madrycie, Paryżu, Atenach i Rzymie, odrywając się od duchowej atmosfery rodzimej i skłaniając się ku kulturze zachodniej.

W r. 1908 wydaje drugi tom poezyj, w których zmienił się ton dotychczasowy, w jakim poeta śpiewał, stając się mniej patetycznym i dyskretniejszym.

Niema już teraz handżaru, krwi, ni dumnych minaretów, jest zato liryka illuzorycznej miłości, pełna rozczarowania, spleciona z francuskim artyzmem, szukającym estetycznych efektów i literackości. Przed czytelnikiem jawią się dyskretne odcienie barw, podane wedle recepty Verlaine, muzyczność wiersza, wywołana uwypukleniem ciszy, szeptu i szelestów, kołysana rytmiką słów. Dalszą linją rozwojową poety są „Carskie sonety", a przedewszystkiem poezje prozą p. t. „Modre legendy" pisane w roku 1905 w Genewie i w 1915 w Atenach. „Obrazy tych poezyj i muzyczność języka są jakby echem poezji maurytańskiej, czy maurytańsko-andaluzyjskiej za wszystkiemi jej epitetami". Dopełnieniem twórczości Duczić'a jest tom listów z podróży z r. 1919.

Nie tu miejsce na analizę dzieła twórczego Duczić'a, zaznaczamy ją tylko szkicowo; nie mniej jednak stwierdzić musimy, że Duczić wartością swego dzieła poetyckiego stanął godnie w rzędzie poetów-symbolistów w literaturze światowej, jako jedyny bodaj kontynuator tego kierunku na gruncie serbskiej literatury. Jego poezja płynie tą samą strugą, co symbolizm zachodni i ma ten sam stempel cechowany na sobie, ale w najgłębszych swych podkładach jest nawskroś indywidualna i prawdziwie serbska.

Jego poezja, to melancholja, tęsknota zarówno jak i metafizyczna nostalgja za tajemnemi światami, ponad któremi unosi się iście kobieca wrażliwość poety, jego sny, które mają tchnienie samotnych nocy i poszum smutnych wierzb.

Antoni Brosz.

JOVAN DUCZIĆ

Południe

Ponad ostrowem pełnym cyprysów i sosny
Płomienne, młode słońce jasne światło szerzy
I drży ponad lasami i ponad wybrzeżem
Słony i modry zapach morza świeżej wiosny.

Fioletowe są góry. Granity na szczytach
Odbijają się na dnie. Spokojnie, bez piany
Toń się wodna przelewa i całuje ściany;
Ciepłe, szklane nad wodą sklepienie błękitu.

I proch słoneczny zadrży nad gorącą ławą,
Zasrebrzy się w tem złocie nagle mewa biała,
Roztrąci blask nad wodą. I zapachną skały
Od mocnej woni ryb i wrzosów błękitnawych.

Wszędzie jest taka cisza. Na dnie duszy mojej
Rozprzestrzenione widzę to ogromne morze:
Gdzieś fioletowe lasy oleandrów gorzą,
Blady widnokrąg świeci i dymi spokojem.

Srebrzyste, urodzajne w mojej duszy stoją
Wybrzeża i ogrody; jaśnieje i pali
Młode, gorące słońce; i nie szumią fale —
Cicho jest wkrąg. Południe oddycha spokojem.

Z serbskiego przełożył Zdzisław Kempf.

REDAKCJA: (tymczasowo) Jerzy Braun, Krosno, Rafinerja nafty (Małopolska). Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Chmielna 68 m. 37 Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł. Konto P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 133.210
Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „BLUSZCZ", Warszawa, Solec 87.